Tom I. Nr. 3.

21. Lipca 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

KRÓL W KUMACH.

(Dokończenie.)

III.

Mija dzień jeden i drugi — dziad stary przepadł jak kamień w wodę. Kto go zna gdzie jest i czy się stawi w słowie. Ej, bieda z nim! a tu i na dzień trzeci już słonko świta. Tedy gospodarz nie mówiący już nic, pójdzie z pięknym ukłonem na sioło, ta poprosi tego na kumę, tamtą na kumoszkę do syna — jak kogo miarkował. Nikt się nie drożył z przysługą taką, owszem z ochotą szedł pokumać się chociaż z biedniejszym od siebie Jankiem, bo już taka była chrześcijańska miłość między wszystkimi.

A był to dzień nieroboczy, w święto niedzieli. Za potokiem na starych lipach we wszystkie zadzwoniono dzwony. Na to dzwonienie wnet z chałup wysypała się czujna gromada, spiesząca ku kościołowi. I nasi z chaty Jankowej ruszyli tą drogą — na przedzie baby z dzieckiem, za niemi gospodarze sproszeni na chrzciny, ta i reszta rodziny.

Po mszy świętej ksiądz Franciszkan miał właśnie piękne kazanie do ludu, kiedy naraz na dworze wstał niesłychany szum

i takie drzenie ziemi, aż się ściany drewnianego kościółka otrzęsły gwałtownie i wielki postrach padł między ludzi, nie wiedząc co by to było. Więc ten i ów co stali bliżej proga, wychylą głowy na pole. I cóż tam oni uwidzą?... ano kupę jeźdców, że trudno było na razie ich wszystkich policzyć, w takiem mnóstwie zalegali przed kościołem murawę. A pod nimi konie bystre, cudnego kształtu, w złocistem ubraniu; a na nich stroje przecudne, krasne od karmazynu, złota, srebra i przeróżnych drogości, a najkraśniejszy w stroju i najpyszniejszy z miny ten co na przedzie pan. Jeszcze nasi patrzący na to z kościoła nie wyszli z podziwu, kiedy oni dziwni goście pozsiadali z koni i prosto walą na kościół. A byłoż ich było! aż się wszyscy pomieścić nie mogli w tym tłumie. Więc jedni już byli u wielkiego ołtarza klęczący, kiedy drudzy przed kruchtą na zielonej poklękali murawie, nie mając dla siebie miejsca w kościółku.

Ksiądz Franciszkan zrazu, miarkując gromadę w takiem poruszeniu, zaprzestał był kazania. Ale wnet, skoro się jeno owi dziwni goście uporządkowali i zrobiło się cicho na kościele, po dawnemu wziął kazać do ludu aż póki nie skończył i nie pobłogosławił swojej słuchającej gromadki. Już potem schodzi do ołtarza i pocznie na oko brać gości swoich a rozpoznawać z bliska, ażali mu znani są albo nie. Więc idzie sobie zwolna i patrzy — aż ten co na przedzie był, on z panów pan najpyszniejszy, na raz powstanie ze ziemi i całą twarzą ku niemu się zwróci. Dopieroż ksiądz się zadziwi i na cały kościół zawoła:

— Król jegomość, nasz gospodyn najmilejszy!

— Król! król! — przeszło po ludziach błyskawicą. Wszystkich oczy rozwarły się szeroko i nuż się cisnąć młodzi i starzy do stóp króla, pana ich miłościwego, którego chociaż nie znali, ale siła dobrego o nim czuli. Więc kołem go serdecznem otoczą, niby dziatwa miłego ojca, oni w chodaczkach łyczanych, w zgrzebnej odzieży, z ciemną twarzą od słońca, prostaczkowie ubodzy, — on król, pan nad pany, w królewskiem ubraniu od złota i srebra, a rad się z nimi wdaje i w takiej jest dla nich dobroci, iże nikt lęku przed nim nie uczuwa ani zawstydzenia żadnego, jeno tak sobie twarzą w twarz przed królem radowali jak gdyby u siebie doma byli.

Powiada król do księdza Franciszkana: — Ojcze duchowny! dziś pono macie chrzciny w waszej parafii?...

— Tak miłościwy panie! odrzeknie ksiądz Franciszkan, robiąc wielkie oczy na króla. Jankowi Trzasce przed trzema dniami narodził się syn... owo temu tam chłopu.

I wskazał ręką w stronę gdzie stał właśnie Janko, znany nam gospodarz, a wedle baby z dzieckiem, kumy, kumoszki i dziatwy sześciorgo.

Tedy król się tam odwróci piękną twarzą i powie z uśmiechem do chłopa:

— Niepięknie sobie Janku poczynasz, skoro u ciebie słowo dane niczem, jak widzę.

— Na rany Chrystusa! jakże bo znowu, miłościwy panie?... zawoła gospodarz, zgryziony tym królewskim zarzutem.

— O, o... a niby nie wie! a któż to trzeci dzień temu przyrzekał staremu dziadu iże mu chrzestnym ojcem dozwoli być do syna, he — czy nie wy?

— Iście tak, miłościwy królu, ale co ja mogę za to, że dziada nie widno.

— Jakto nie widno! zawoła król — człeku! upamiętaj się i popatrz lepiej.

Na to nie sam już Janko, ale wszystko co żyło, poziera w około siebie za dziadem o którym mowa. I kiedy tak wszyscy pozierają naprzód po za siebie a potem zdziwieni po sobie, rzeknie znowu król:

— I cóż Janko powiadasz, nie widno?

— Tadże nie, miłościwy królu.

— Ale przepatrz jeno lepiej!

— Darmo, miłościwy panie, nie widzę — powiada coraz bardziej zakłopotany chłop.

— Tabo w nieswoje miejsce patrzysz, człeku! prawi król z twarzą coraz weselszą. Tadże dziad tu... tadże przed tobą... tadże się z nim rozgadujesz.

Na takie królewskie gadanie już nikomu nie stało rozumu. Ksiądz nawet sam choć jaki wyuczony na książkach, patrzał i i patrzał, i bił się z myślami a taki w ciemności był nie mniej jak drudzy. Dopieroż król inaczej się ozwie:

— Ojcze duchowny! powiada do księdza — bierzcie czego wam potrzeba i chodźcie do chrzcielnicy, ochrzcić nowonarodzonego. Ja mu będę ojcem chrzestnym, bo mam na to słowo od ojca i matki. Ja dziad z siwą brodą, com przed czterma dniami pod wieczór stukał kijem po drodze w tem siole, ciekawym będąc, kto mię też zaprosi nieproszony w gościnę. I Jankowe dzieci oto zabiegły mi w drogę, i Janko powitał serdecznie, i dał mi schronienie przed burzą i nocą. I gdy nazajutrz ja dziaduś z torbami zapraszał się w kumy do niego, to on ze swoją nie zważali na moje ubóstwo i radzi mi na to podali rękę.

Teraz dopiero się wszystkim zrobiło jasno w głowie, kogo to król rozumiał pod owym dziadkiem. Chłop Janko rzucił się jak długi do kolan pańskich i wziął całować ze łzami te stopy królewskie, które się nie wachały przestąpić za próg ubogiej chatki wieśniaczej. Za nim i reszta gromady, sławiąc miłościwego pana, całowała krańce szat jego królewskich. Zaś tym, którzy widzieli w on czas dziadka na drodze a nie spieszyli z gościną — dziś wstydno i żałośnie im było na sercu.

Wtem Maryś, jak wiemy średniaczka Jankowa, która dotąd choć rada była, nie mogła się przycisnąć do osoby królewskiej, zajrzawszy miejsce wolne, przypadnie z wesołą twarzyczką i króla za ręce pochwyci z śmiałością dziecka:

— Aj, miły królu! powiada — nie mówiłaż ja dobrze że was znam, jenom sobie była na śmierć zabyła gdzie?... Toć to wy mię złapali na świętej gruszy, strojącą Matkę Boską i Pana Jezusa we wianki!...

— A ja! dobre dziecko, odrzecze król po główce ją gładząc — prawdziwie że ja.

— A takeście się królu spierali, kiedym was poznawała w dziadku! — zarzuci dziewczyna.

— Ba spierał, moja Maryś, bo to nie sztuka było powiedzieć znam i znam, ale gdzieś go zaznała... tego mi nie powiedziałaś.

— Ej, kiedym sobie zabyła.

— No widzisz, powiada król wesoło — to niekoniecznie i dobrze żeś takiej krótkiej pamięci. Ano i dziś już mnie znasz, a jutro kto wie jak będzie?

— Nie bójcie się, miły królu, o to — zawoła dziewucha i pokraśniała rumieńcem jak różowy kwiat o wiośnie — już ja was póki życia nie zabędę... o, dalipan, do samej śmierci! A jeszcze i drugim o was rozgadywać będę, ażeby i po śmierci ludzie nie zapominali o was, coście tacy dobrzy.

Potem król ucałował mowną dziewuchę w głowę i przystąpili do chrztu świętego. Chłopak na imie dostał po królu, swoim chrzestnym ojcu, Kazimierz. Boć to był król polski, nasz Kazimierz wielki. Dla czego wielki popytacie?... czy może że nad innych głową przerastał?.... o nie, moi ludkowie! nie żadna ztąd sława być w ciele wielkim jak drąg, ale w rozumie być wielkim i wielkim w serca dobroci.... toć sława po wieki. A takim był nasz Kazimierz wielki, inaczej jeszcze królem chłopków zwan, dla miłościwych rządów swoich i opieki nad biednym ludem. —

Ta żeby już niczego nie pominąć w tej prawdziwej historji, dopowiem resztę. Więc naprzód chrześniaka swego wziął król na własną opiekę do Krakowa. Tam go wyuczyć kazał na książkach, a że chłopak był pojętnego rozumu i całe do książki ochotny, wnet też księdzem został, a później i kanonikiem przy kapitule Poznańskiej.

O rodzinie jego pamiętał do śmierci, kmotr miłościwy z królewskiego zamku. Wydzielił Jankowi więcej gruntu, zaopatrzył w bydło robocze i tak polepszył dolę ubogiego chłopka na roli. A innego też szczęścia nie pragnął Janko, nawykły do pracy rzetelnej, jaką mu przekazali ojcowie jego na roli.

A Maryś, Marysienka, średniaczka Jankowa po dawnemu wiła wianuszki dla Maryi i Pana Jezusa na gruszy. Aż przyszedł czas na nią.... druchny uwiły wieńce z rozmarynu i ruty, przystroiły Marysienkę, pannę młodą do ślubu, i zawiodły do kościółka.... i ślubowała Maryś: Ołtarzowi wielkiemu i Jasiowi swojemu.

Ale co rzekła była miłemu królowi za onych młodych lat swoich, to już do śmierci dochowała wiernie. Zawsze o nim pamiętała i o jego dobroci rozpowiadała dzieciom swoim ta i drugim na okolicę. A tak wieść ona od jej wdzięcznego

serca poczęta, szła z kraju w kraj, z pokolenia w pokolenie, aż się po całej polskiej rozniosła ziemi, kwitnąca wieczystym kwiatem.

SYN.

Jedzie, jedzie rycerz zbrojny,
Wraca do dom z długiej wojny,
Suknia jego pokrwawiona,
Szabla jego wyszczerbiona.

Przywitał go ojciec stary,
Siostry mu wyniosły dary,
Cieszyli się bracia mili,
I sąsiedzi się cieszyli.

„Gdzieżeś matko! Wracam z boju,
Matko miła, wyjdź z pokoju,
Niech uściskam twoje nogi;
Wyjdź przywitać syna z drogi!“ —

— „Jakże może wyjść do ciebie,
Gdy od roku po pogrzebie!
Pokój w ziemi ma zrobiony,
I kamieniem przyłożony.“

„Jam ten pokój dla niej sprawił,
Długom się na wojnie bawił!
Żyjcie już tu sami sobie,
Gdy przezemnie matka w grobie.“

Mszy i modlitw nie zaniechał,
Jak przyjechał tak odjechał...
Znikł za górą rycerz zbrojny,
Już nie wróci nigdy z wojny. W.

CIEKAWY WOJTUŚ.

Klasztor na Jasnej-górze w Częstochowie.

Gdzie stoi zamczysko w Przemyślu na wysokiej górze, tam po prawej stronie na pochyłości tej góry ku Sanowi zobaczysz kilkanaście ubożuchnych domków, kryjących się skromnie po za gałęzie gęstej sadowiny. Miejsce to nazywają Podgórzem w Prze-

myślu. Owóż w jednem z tych domków mieszkał do niedawna pewien majster rymarski, Walenty — człek bywały po świecie, co nie z jednego pieca chleb jadał, wiele widział, dużo zapamiętał i to wszystko pięknie opowiedzieć umiał. Miał on żonę niebogatą z rodu, ale rządną i uczciwą niewiastę, i z nią jednego syna Wojtusia. A ten Wojtuś to była jego cała pociecha! Nie duży bo ledwo ośm latek mógł liczyć, a już taki zmyślny był chłopczyna i taki ciekawy do nauk, że się ojczaszek z ostatniego ściągnął, aby tylko synka posyłać do szkoły na naukę. Było to jakoś w dzień Matki Boskiej, bo w sobotę pod wieczór. Walenty miał gdzieś pod Przemyślem robotę i powracał właśnie do domu. Otwiera drzwi... na izbie ciemno i cicho jak makiem zasiał.

— Hola! jest tu kto? zagadał Walenty wszedłszy do izby i począł się rozpatrywać w ciemności.

— To wy tatko! zakrzyczało coś cienkim głosem, i duchem z pod pieca wyskoczył mały chłopczyna i na piersi się ojcu obwiesił — Dobry wam wieczór po robocie! —

— Jak się masz, Wojtusiu! a gdzie matka? i czego tak ciemno na izbie? przecie to dzisiaj dzień Matki Boskiej — a o świeczce jak widzę ani du-du.

— Nie gniewajcie się tato! właśnie matula poszła za świeczką do miasta — jeno co jej nie widno.

— Nie można to było w dzień o tem pomyśleć? dopiero na ostatni czas się opuszczać... oj, to nie dobrze!... gderał majster, który, że był sam we wszystkiem akuratny, chciał żeby i drudzy takiemi byli.

— Ale tatulu! tłómaczył chłopiec... ot i mama! słyszycie jak pilno bieży przez ogród?...

Prawdę gadał chłopiec, boć zaledwo skończył, już się drzwi uchyliły od izby i zadyszana wpadła Walentowa. Nie wybyło i Zdrowaś Marja, już świeczka płonęła w drewnianym lichtarzyku przed świętym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, wprost drzwi na ścianie zawieszonej. Już też i majster się udobruchał i z twarzą wesołą, jak zwykle, rozsiadł się na ławce po za czerwonym stołem, a wziąwszy Wojtka na kolana i ucałowawszy go w czoło, powie:

— I cóż mi powiesz, Wojtusiu?...

— Ja nic — odpowie chłopczyk, obejmując ojca za szyję — co by ja wiedział! ale wy, tatusiu, coście tyle świata zwiedzili, powiedzcie-no mi coś o Częstochowie, bo nie bez tego żebyście tam nie byli.

— Oj byłem, synu i powiem, boć słusznie żeby o tem każde polskie dziecko wiedziało co w takiej sławie było, dotąd jest i po wieki pozostanie u naszego narodu.

I począł tak prawić majster Walenty: — Na drodze między Krakowem a Warszawą leży miasto Częstochowa. Przy tem mieście jest góra wysoka, którą przy pięknej pogodzie można widzieć na kilka mil w około, dla tego zowie się Jasną-górą. A na tej Jasnej-górze stoi klasztor księży Paulinów i kościół z pyszną wieżycą, w którym znachodzi się obraz Najświętszej Panny, jeszcze przez Ś. Łukasza ewangielistę na cyprysowem drzewie malowany a znaleziony przed laty w Nazarecie w domku, gdzie się Chrystus Pan rodził. Jak tylko do Polski był przywieziony — a powiadają ludzie że już temu będzie lat 500 zpełna — wnet o tem sława wielka gruchnęła po całym kraju i począł się naród co roku licznie w to miejsce święte gromadzić tuląc się w każdej przygodzie jak wierna dziatwa pod opiekę Boskiej Rodzicielki. Jakoś niedługo potem wpadli byli poganie do Częstochowy a słysząc o wielkich skarbach w klasztorze, uderzyli na księży, pomordowali ich srodze i co było w klasztorze i w kościele, świętokradzką rabowali ręką. Nie dosyć na tem; — gdy im już śrebra i złota nie stało, wzięli się do ołtarzy i do świętych obrazów jako niewierne psy, i nuż szablami rąbać i niszczyć co im wpadło w oczy. I wtedy to jeden z rabusiów przypadł do cudownego obrazu Najświętszej Panny i machnąwszy szablą, rąbnął dwa razy po ś. twarzy.

— O dla Boga! zawoła Wojtuś — i nie ukarałże go Bóg za to?...

— Gdzie tam, synu! — ukarał, bo mu obie ręce uschły od jednego razu i grzeszne żelazo wypadło z brzękiem na posadzkę kościoła, a wszystkich co na to patrzali taki strach zdjął, iż co rychlej zemknęli w nogi. Zaś on zbrodniarz nowym cudem uczuł wielką skruchę w swem sercu, upadł na kolana i skoro

się swoim językiem pomodlił szczerze do cudownej Pani którą tak srodze obraził, odzyskał na powrót siłę w rękach. I nie wracał już do swoich, ale się dał ochrzcić i pozostał w Polsce do śmierci. Od tej to przygody Matka Boska ma te dwie szramy, jak widzisz, w poprzek twarzy. I chociaż później Bóg wie nie zkąd zwoływali malarzy aby zamalować te rany, na nic się to wszystko nie przydało, bo żadna farba nie chciała się czepić świętego obrazu.

Po tym napadzie niewiernych wnet się klasztor opamiętał, odbudowano kościół jeszcze pyszniej jak przedtem był, a iżby go raz na zawsze zasłonić przed rabunkiem chciwych nieprzyjaciół, co jak drapieżne wilki czychali u nas każdej pory na zdobycz, królowie polscy kazali wystawić mocny mur do koła, opasali go wałem i pobudowali wieże do obrony. Nadto utrzymywali księża Paulini kilkadziesiąt uzbrojonych żołnierzy, mieli armaty, proch i kule aby się mogli od nieprzewidzianej obronić napaści.

I było tak aż do czasów pierwszej wojny Szwedzkiej, która 200 lat temu tyle biedy narobiła w Polsce. Już Szwedzi zagarnęli byli cały kraj, wszystkie miasta i zamki, nawet sam Kraków, stolica nasza, poddała się pod ich władzę — jeden tylko klasztor Częstochowy pozostał wierny królowi i ojczyźnie. Nareszcie wzięli się i do niego Szwedzi. Zasłyszeli oni o mnogich skarbach jakie się tam znajdują i nie dbając jako niewierne lutry na to że to miejsce święte, podsunęli się w 17 tysięcy wojska i 20 armat pod dowództwem jenerała Millera pod Jasnągórę. Nie myśląc żeby się takiej sile biedni księża opierać śmieli, jenerał Miller jak tylko przyszedł do Częstochowy, posyła do nich jednego od siebie z wezwaniem, aby się zaraz poddali królowi Szwedzkiemu, bo inaczej cały ten „kurnik“ — jak nazywał luter święty klasztor — rozwali kulami a upartych mnichów wywieszać każe. Na taką bezwstydną mowę księża Paulini, głównie zaś przełożony ich ks. Augustyn Kordecki, odpowiedzieli: „iż bojąc się pana Boga nie lękają się żadnych Szwedów i gotowi są umrzeć w obronie religii i króla polskiego.“ Siły ich były maleńkie ale wiara wielka! Na całą obronę mieli wszystkiego 160 żołnierzy, 68 mnichów i 50 szlachty, która się tu schroniła przed szwedzkimi rabusiami wraz z żonami i dziećmi. Po takiej odpowiedzi zaraz zaczęli Szwedzi rzucać ogniste kule,

któremi zapalili gumna klasztorne ze zbożem. Nie dali się tem zastraszyć księża, bronili się dzielnie i we trzy godziny zmusili napastników do odwrotu. — Ha! myśli Miller, poczekajcie mnichy! sprowadzę ja sobie większe armaty i temi wam dopiero dojadę końca. Za kilka dni przyprowadzono te wielkie armaty i w sam dzień Ofiarowania Najświętszej Panny straszny przypuścili szturm. Kościół i wszystkie budynki zdawały się gorzeć od ognia — ale Najświętsza Panna cud pokazała: kule odskakiwały, inne przelatywały za klasztor, nikomu szkody nie czyniąc. Co widząc Szwedzi, mocno się tem potrwożyli, a nawet sam Miller, choć taki heretyk, powiadał że widział Matkę Boską w niebieskiej sukni jak osłaniała płaszczem swój klasztor. Sześciu znowu żołnierzy co zapalało armaty, od prochu który się na nich obrócił, oślepło, a armaty się roztrzasły na drobne kawałki. Mimo tego nie dał się jeszcze odstraszyć zawzięty Szwed — szturm przypuszczał po szturmie, choć zawsze nadaremnie a ze swoją stratą. Raz nawet zdarzył się taki przypadek jenerałowi, że gdy jadł obiad i zębami zgrzytał ze złości, odgrażając: że klasztor do góry nogami przewróci, w tej chwili wpada kula, stół i potrawy wywraca, a Millera w ramię trafia aż go ledwie otrzeźwiono. Dopiero w czterdzieści dni, przypuściwszy jeszcze ostatni szturm o Bożem narodzeniu, gdy i ten raz nadaremnie — nie skurawszy nic, poszli sobie z kwitkiem i już się drugi raz nie kusili o klasztor. Po takim cudzie Najświętszej Panny wstąpił duch w naród polski, każdy sobie pomyślał: hej! nie taki to straszny djabeł jak go malują! — ta i dalejże gromadzić się na Szwedów. I niebawem wykurzyli het lutrów z polskiej ziemi aż do ich kraju za morzem.

— O to, to! zawołał Wojtuś, radośnie klaskając w ręce.... Jakże ja też się teraz bardziej modlić będę do Najświętszej Panny Częstochowskiej, kiedy się taką dobrą matką okazała dla naszych.

A Walenty przycisnął chłopca serdecznie do piersi i prawił dalej: — Były i później różnemi czasy kuszenia się nieprzyjaciół o ten klasztor, ale mając taką opiekunkę za sobą, zawsze on był górą i z każdej sprawy zwycięzko wychodził. Oprócz ołtarza w którym umieszczony jest on obraz cudowny Maryi Panny, jest ich jeszcze 20 innych. Skarbiec przy kościele niezmiernie

bogaty, choć tam już i połowy tego nie ma, co przodkowie nasi przed laty hojnie byli ofiarowali. — Lat temu, synu, dwadzieścia kiedy byłem w Częstochowie z krakowską kompanią w czasie wielkiego odpustu na Zielone świątki — ludu ze wszystkich stron kraju było jak nabito. Większe jeszcze bywają zgromadzenia od Zielonych świątek do Wszystkich Świętych; najliczniejsze zaś w rocznicę koronacyi Matki Boskiej Częstochowskiej, która to uroczystość na dzień 8. Września przypada. Zresztą każdego dnia według postanowienia Ojca ś., kto tylko przybywa w szczerej i pobożnej myśli, dostępuje odpustu. Jak mi cokolwiek podrośniesz, chłopcze — to kiedy zabierzemy się wraz z matką na piechotę do Jasnej-góry, byś na własne oczy zobaczył ten obraz cudowny, od którego cała Polska tyle doznawała dobrego. Tymczasem bądź dobry, módl się co dnia pilnie przed tym obrazem Maryi Panny, a jeśliby kiedy matka zapomniała kupić świeczki zawczasu do świętego obrazu, to jej przypomnij Wojtusiu.

— Oj przypomnę, mój tato! i bodaj sam pobiegnę za świeczką do miasta.

Przeciw dręczeniu zwierząt.

Ujechawszy milę, postój koniom chwilę:
Ujechawszy trzy, czoła koniom potrzej;
Ujechawszy sześć, dajże koniom jeść.
Stara przypowieść.

Uderzmy się w piersi i przyznajmy do winy, gospodarze, ta że strasznie licho dbamy o naszą chudobę którą nas pan Bóg opatrzył. Nieraz aż serce się kraje, patrzyć na biedne konięta jak to ostatnich sił dobywa ażeby uciągnąć wóz, przez nielitościwego człeka nad ich siły przeładowany. A co bicia, co przekleństw nie dostanie im się przez drogę!.... to o tem i nie gadać. Ileż to razy zdarzy się widzieć w przydrożnej karczmie chłopa, dogadzającego sobie przy kieliszku, podczas gdy jego chudoba w szczerem polu wystawiona na paskudę, o głodzie i chłodzie, smutno, z opuszczonemi łbami wyczekuje, rychło się jej pan wygramoli z karczmy, i późno w nocy po złej drodze nagoni do dom na spoczynek. To tak gospodarze, niedbający o własną pracę. Cóż dopiero powiedzieć o sługach! tu jeszcze

gorzej się dzieje i każdy sobie prawi: „głupi-by mu ta poszanował, kiedy to nie moje.“ Po innych krajach już oddawna postanowione jest na to surowe prawo aby się nikt nie ważył, bydlęciu chociażby i swojemu własnemu, krzywdy uczynić. U nas jeszcze nie przyszło do tego, ale daj Boże, iżby nasi ludzie, nim nastąpi takie prawo, sami z dobrej woli w sercach swoich postanowili, nie srożyć się i nie pastwić nad żadnem Boskiem stworzeniem a choćby i nad marnym robakiem.

Właśnie też czytamy w jednej książce o tem piękne słowa, które wam tutaj podajemy dla tem większej zachęty i dla dobrej pamięci.

— Bóg, który stworzył świat i człowieka, stworzył także i zwierzęta wszystkie; a nie ma pod słońcem robaczka żadnego, któryby był wyjęty z pod jego opieki.

I ziemia jest na kształt stołu ogromnego, który codzień Bóg nakrywa żywnością wszelaką, i do którego porówno idą ludzie i wszystkie zwierzęta, i zlatują się wszyscy ptacy napowietrzni.

A Bóg jakoby wielki gospodarz świata, oddał ludziom niby czeladzi swojej, moc nad wszelkiem stworzeniem jak nad dobytkiem swoim. Więc jako czeladź czyniłaby krzywdę gospodarzowi, krzywdząc dobytek jego, — tak ludzie stokroć gorzej grzeszą naprzeciwko Bogu, dręcząc choć najmniejsze stworzenie, które jest dziełem jego ręki. Bo Ojciec niebieski, w miłości swojej na wszystek świat wylany, pragnie też, ażeby każde, choć najdrobniejsze żyjątko co przez niego żyje, miało szczęśliwość i zachowanie swoje.

Dzieci, jako same są też maluczkiemi, i jako się one jeszcze swego cienia boją, i jako one zapłaczą gdy na nie palec kto zakrzywi, — tak niechże też nie czynią krzywdy trwożliwemu zwierzątku, które słabsze od nich, ani robaczkowi, który jest w ich mocy. Bo i dzieci już winny miłosierdzie czynić; a komuż one słabe i ubożuchne uczynić mogą miłosierdzie jakie, jeśli nie słabszemu i mizerniejszemu od siebie stworzeniu? Które zaś wyrządzają małe złe zwierzątkom, będąc maluczkiemi, — będą wielkie złe wyrządzać bliźnim, stawszy się dużymi.

Tak i wy ludzie, którzy w pocie czoła pracujecie, jako też porówno z wami pracuje bydełko robocze; — a którzy też

jesteście drugim ludziom podwładnymi; — a którzy też nieraz oblewacie łzami gorzki chleb służebny, — a którym też jest oddane w rękę jarzmo na woły i bicz na konie; użalcież się nad każdem biednem stworzeniem, które jest pod wami, i co wam niemiło — onym nie czyńcie.

I wy, jako te dziatki, będąc ubogimi, kiedy macie jedną suknię — jakże ją macie oddać bliźniemu, co prawie jest nagi? — I jakże wam podobno jest łamać chleb na jałmużnę, kiedy go czasem sami nie macie? A więc czyńcie przynajmniej miłosierdzie zwierzęciu, kiedy go często ludziom czynić nie jesteście w stanie; bo Bóg i od was chce dobrych uczynków, a i ku zwierzęciu miłosierdzia żąda.

Ludziom w ucisku i krzywdzie dana jest przynajmniej mowa, ku wypowiedzeniu krzywdy, — dany jest przynajmniej płacz, ku uproszeniu litości, — dane jest i prawo, i sąd postanowiony na ziemi, który wymierza każdemu według sprawiedliwości jego. Ale udręczonego zwierzęcia nikt nie pożałuje, ani się ujmie za wyrządzoną mu krzywdę, chyba tylko jedyny Bóg, który w ciszach niebieskich słyszy wszelkie gwałty ziemskie.

Bywa często, że człowiek mający złość na człowieka, mści się i pastwi nad niewinnem bydlęciem jego. A biada psu, który wejdzie w drogę człowiekowi takiemu! I biada koniowi, na którego on wsiądzie w złej godzinie gniewu!

Sromota też ludziom, którzy w opilstwie straciwszy rozum, nie tylko uderzają na nieżywe kamienie i drzewa przydrożne, ale w zapamiętaniu swojem katują jeszcze i niewinne bydlątka, któremi się wiozą do dom.

A jeżeli kto naśmiewa się z żyda, co pod górę siedzi na wozie, choć konikom ciężko, a z góry zesiada z woza, choć się letko jedzie, to niechże też sam nie czyni takim obyczajem, iżby pamiętał tylko o sobie i o bezpieczeństwie swojem, ale każdy jak może niech w drodze ulży bydlątku.

Z tamtej strony Warszawy jest lud Podlaski, na swoje bydełko taki łaskawy, że furki ze zbożem pcha za konikami, a prawie nie zna, co to jest bicz na nie. Bierzcie go sobie za piękny przykład.

U kogoby koń zasłużony i spracowany miał poprzecinaną

od bicza skórę, albo u kogoby stary pies powieszony był na wierzbie; tam pewno i starzy rodzice w poniewierce będą u takich dzieci, i staremu żebrakowi nie ma po co wstępować do takiego domu.

A kto prowadzi bydlę na zabicie i dla pożywienia swego jakiemukolwiek zwierzątku życie odbiera, ten niech mu nie da długo się męczyć, i niech mu bolu srogiego nie przymnaża daremno. Jakoż też między naszym ludem dobre w tem okazuje się serce, że nie pozwalają dzieciom patrzyć, kiedy bydlę zabijają, bo mówią, że bydlę czuje, kiedy kto żali się nad niem, a przez to jeno dłużej żyje i jeno się dłużej męczy podaremnie. A dobry to obyczaj jeszcze i dla tego, że niewinnym dzieciom, które się na mękę bydlęcia zapatrują, zatwardza się tylko onych serce, i potem też zapatrywać się będą suchem okiem na wszelkie udręczenia bliźnich swoich.

Ale bo też każdy niech to ma na uwadze, że i zwierzęta mają swoje czucie i swoją litość, a litość lepszą nawet czasem od samego człeka. Bo czyliżto bydlę nie ryczy, kiedy znajdzie miejsce, gdzie się krew bydlęca była rozlała? Albo czyliżto pies wściekły nie ucieka z domu, w którym był chowany, i nie umija tych, którym wiernie służył? — Albo czyliżto wojacy nie opowiadają, jak konie na wojnie trupów przeskakują? — Albo czyliżto nie poświadczą tacy, co we wojnie ranni leżeli na ziemi, że konie w boju i ciemnej kurzawie przekraczały ich ostrożnie aby nie udepnąć?

Miłosierdzie nad zwierzęciem wszelkiem jest w każdym człowieku jawnym już znakiem i dobrego serca i prawdziwej miłości chrześcijańskiej: — bo miłosierdzie takowe nie bywa czynione ani dla chluby, ani dla wdzięczności, ani dla oka przed ludźmi, — jeno dla samego sumienia własnego, jeno dla samej zasługi przed Bogiem, od którego też zesłany nam jest z Nieba przykazanie takie: *„Bądźcie miłosiernymi, jako i Ojciec wasz w Niebiesiech miłosiernym jest!“*

RÓŻNOŚCI.

Przygoda z rozpusty. Jedno z pism krakowskich donosi nam o smutnym wypadku jaki się zdarzył w Krośnie w d. 23. czerwca. W pobliżu kościoła ś. Wojciecha stoi stara wiśnia, na którą wdrapywały się dzieci. Po południu tego dnia starsze nawet wyrostki obsiadły drzewo żeby owoc objadać. Spruchniała gałęź załamała się pod ich ciężarem i czworo dzieci spadło na trawnik, a dwoje na drogę pod drzewem idącą. Z tych ostatnich dziewczyna 9letnia na miejscu żyć przestała, a chłopiec 18 lat liczący obie ręce połamał, głowę sobie pokaleczył i w niebezpiecznym znajduje się stanie. Z pierwszych czworga dzieci, dwoje jest znacznie potłuczonych a dwoje innych zupełnie jest zdrowych.

Rodzice! nie pozwalajcie nigdy dzieciom swoim rozpustować, jeśli wam ich zdrowie i życie na sercu leży.

• Tego roku często doświadczamy burze. Grady jak słychać w różnych okolicach kraju znaczne poczyniły szkody na polu. Toż samo i pioruny nie w jednem miejscu stały się przyczyną nieszczęścia. Niedawno temu w Uhrynowie w obwodzie Żółkiewskim uderzył piorun w stajnię i zapalił. Mimo spiesznego ratunku, ogień przerzucił się na pobliskie budynki. Spłonęło 15 domów, przyczem zginęła jedna sztuka bydła i wszystkie sprzęty gospodarskie poszły z dymem.

Dziwne zwyczaje. Co kraj to obyczaj — powiada nie nadarmo przysłowie. Gdy komu u nas umrze ojciec, matka, mąż, żona, dziadek, babka, to noszą żałobę. Ta żałoba u nas jest koloru czarnego. Czy myślicie że tak wszędzie?... Idźcie tam daleko na wschód słońca a zajdziecie do kraju Japończyków; tam kolor biały oznacza żałobę. My się witamy, całując się w ramię albo w usta, ściskając za ręce, kiwając głową, i zdejmując czapkę albo kapelusz. A tam w Japonii to się witają nogą; a w innych krajach zdejmują bót i kładą na głowę; jeszcze gdzieindziej ocierają się nosami na znak przyjaźni, dmą w ucho albo po brzuchu ręką głaszczą. U nas gdy koń przypadkiem nogę sobie złamie że już wcale nie jest do roboty, albo z wielkiej starości osłabnie, wołają oprawcę ażeby się dłużej konisko nie męczył, każą zdjąć skórę a ścierwo zakopują do ziemi. W Niemczech oddaliby go na rzeź do jatek, i rozsprzedali jak gdyby wołowe albo krowie mięso na funty. Cóż dopiero mówić o kotach albo szczurach! a przecie u Włochów uchodzą one za wielki przysmak...

Trzymamy się swoich zwyczajów, bo taki to najlepsze co nasze.

Rybołostwo. W dawnych czasach stanowiło rybołostwo ważną gałęź dochodów w Polsce. Księża Cystersi zakładali swe klasztory zwykle w borach nad wielkiemi jeziorami i slynęli jako doskonali rybołowcy. Ryby przynosiły wielkie korzyści i dla tego książęta i królowie dawali rybakom różne przywileje, a nawet w miastach były cechy rybackie. Oprócz jeziór było bardzo wiele stawów; a w nich

pielęgnowano szczupaki, karpie, okonie, karasie, pstrągi, liny i inne. Gdy stawy miano zarybniać, spuszczano je i obsiewano makiem i rzepą. A gdy kwiat maku miał się zawięzywać w owoc, wtenczas wpuszczano wodę i zarybiano stawy i tym sposobem miały ryby gotowy pokarm dla siebie.

Szewc oszukany a złodziej ukarany. Oszust na wszystkie cztery nogi kuty, targował pewnego razu na jarmarku buty. Obuwszy je, że mu wraz były, nie wyzuł ale zapytał szewca: „Majsterku! czy też już kiedy uciekł kto majsterkowi z butami?“ Szumny szewc, poprawiając rogatywki, odpowiada miniasto: „oho, nigdy! nigdy!“ „Co? nigdy?“ zawoła oszust, „to sprobójmy;“ i dalej w nogi. Szewc za nim krzyczy: „Łapcie, trzymajcie, to złodziej!“ Ten zaś pryskając, woła z uśmiechem: „Z drogi, z drogi ludkowie, bo to zakład.“ — I uszedł kary ludzkiej ale nie Boskiej: boć pono jeszcze tej samej nocy, kiedy wracał z karczmy na piękne ścięty do domu, a miał przechodzić przez potok po mostku, tak nim rzuciło, że spadł na głowę do wody, i w niej wraz z kradzionemi butami utonął. A gdy nazajutrz mocno się nad tem dziwowali ludzie, jak taki chłop mógł w wodzie utonąć, co jak to mówią była nie ledwie żabie po kostki, — wtedy Stach najstateczniejszy między nimi, zawoła: Nie dziwujcie się temu gospodarze! Jak pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści — więc i na złodzieja przyszła raz kara Boża.... i ot po wszystkiemu....

Czyja prawda? Spierał się Szymek z Maćkiem o to: czy wódka daje moc człowiekowi albo też nie. Szymek przeklinał ją, Maciek zawzięcie bronił. Gdy tak wadząc się ze sobą idą, aż tu od karczmy nie opodal widzą setnego chłopa na drodze, któremu nogi jak u małego dziecka ani daj Boże statkować, tak mu się podginały i zawracały na wszystkie boki. — A temu biedakowi co, — zawoła Szymek, — że taki niemocny? — Ba, niemocny! rzecze Maciek, — chybaś ślepy! upił się jak nieboskie stworzenie i nie może dalej. — Co mówisz! pijany?... zapyta Szymek, — odże dopiero co spierałeś się ze mną, że wódka mocy dodaje... czyjaż tu prawda?.... Na te słowa Maćkowi jak by kto nieprzymierzając w twarz dał — stanął jak trusia i podobno już nigdy nie zaczepiał Szymona o tę prawdę.

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Zły ptak, co gniazdo swoje plugawi.
2. Więcej tonie ludzi w kuflu, aniżeli w morzu.
3. Grzech bardziej trapi duszę, niż choroba ciało.
4. Łgarze, pan Bóg karze, jeśli nie mrozem, tedy powrozem.
5. Nie zawsze uderzy, gdzie kto mierzy.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**